Wydawnictwa rok VI
Dnia 12 lutego 1928 r.

Nr. 232

Bezpłatny dodatek niedzielny dziennika „Głos Prawdy“

GŁOS PRAWDY

Organ Radykalizmu Polskiego

TYGODNIK

Od Polski Wyzwolonej do Polski Odrodzonej

ZA KULISAMI WIELKIEGO DRAMATU SWIATA.

Redakcja: Warszawa, ul. Szpitalna 1, tel. 282-54. Administracja: Warszawa, ul. Nowy-Swiat 22 tel. 283-26.

NIEDYKRECJE.

KLĘSKA WITOSA W JEGO WŁASNEJ DOMENIE dotychczasowej jest aż nadto widoczna. Nie pomogły ciche konwektykle w dyskretnych apartamentach znanego doradcy wójta wierzchosławickiego, p. Kiernika, adwokata z Bochni, nie pomogły lamenty owego spryciarza ministerjalno-dojlidzkiego. Tylekroć okłamywany przez partyjnych przywódców lud wsi polskiej, który wierny jest swym wierzeniom, zwyczajom i tradycji ruchu ludowego, przejrzał potworną maskę przywódców Piasta, przejrzał perfidne metody oszukańców jego dobrej wiary — i ze wstrętem odwrócił się od dotychczasowych proroków. Na przywódcach Piasta zemściło się ich wiarołomstwo, zdrada dawnych, a przecież wiecznie żywych haseł. Wszak pamiętamy, że do ostatnich wyborów Witosy i Kierniki prowadzili lud pod sztandarem Komendanta, ślubowali wierność Jego idei, Jego pracy twórczej, Jego dziełu odrodzenia duszy polskiej. Cóż z hasłami temi uczynili zbankrutowani dziś wodzowie Piasta? Na drugi dzień po wyborach skazili sumienia swe grzechem podpisania paktu lanckorońskiego, oddającego lud i jego wiarę i trud jego na rynek frymarki partyjnej i niecnej pogoni za własną prywatną korzyścią. Zdrada każda się mści, zdrada sztandarów, zdrada sumień. I lud od zdrajców odwrócił się ze wstrętem—a grzechu zdrady odpuszczenia niema.

* * *

LIST D-RA BARDLA, jednego z pionierów ruchu ludowego, współtwórcy Polskiego Stronnictwa Ludowego, do opinji publicznej piętnuje raz jeszcze wszystkie haniebne szacherki Kiernika, wzywając wszystkich rzetelnych Piastowców, do zwalczania kandydatury Kiernikowej. Głos zasłużonego pracownika na niwie wsi polskiej jest tem znamienniejszy, że zwraca się do sumień dla oczyszczenia sztandaru ludowego z plam, pozostawionych na jego białym atłasie przez brudne ręce dojlidziarzy. Nie jest to głos kontrkandydata, a więc rywala, który stara się „położyć" przeciwnika,—jest to krzyk zranionej duszy bojowca o czystość sprawy. Jest to bunt żywy przeciw samobójczej robocie wyrzutków, tem potworniejszej, że samobójstwem chce zarazić rzesze ludu niewinnego, na wskroś uczciwego, dezorjentowanego przez fałszywych proroków, związanego postronkiem uwodzicieli. Echo głosu d-ra Bardla rozlegnie się niewątpliwie szeroko, zwłaszcza, że w awangardzie oczyszczającej pracy wśród ludu idzie szerokim i zdecydowanym frontem Zjednoczenie Ludu, które — jak wykazuje rzeczywistość, zajmuje fort po forcie dawnej Witosowo-Kiernikowskiej krainy. Trudno zaiste zrozumieć, dziwny upór" Kiernika, który poniżył się aż do płaczliwych próśb, by wyjednać sobie prawo kandydowania. Największym wrogiem polityka jest—ośmieszenie, a trudno o większe, jak to, jakiem się okrył p. Kiernik zarówno wobec wyborców, jak wobec tych, którzy decydowali o umieszczeniu go na piastowskiej liście kandydatów. Ale kto zatracił szacunek dla drugich, szacunek dla wierzeń, dla siebie samego, ten łatwo wpada w upodlenie.

* * *

MONUMENTALNE PRZYMIERZE endeków z komunistami zdobędzie sobie specjalną kartę w historji w tej zwłaszcza jej części, w której mowa będzie o hańbiących naród kompromisach, o potwornej perfidji i odstraszających przykładach podłości. Przez długi szereg miesięcy czytaliśmy w prasie endeckiej alarmujące wywody o niebezpieczeństwie komunizmu. Wykładano narodowi długo i z zapałem godnym lepszej sprawy konieczność uodpornienia się przeciw bolszewizmowi. Zarzucano tym, którzy nie wierząc w przereklamowane siły komunistów i uważając alarmy endeckie za straszaki wywindowywane dla celów politycznych i taktycznych,—domagali się zalegalizowania partji komunistycznej, aby w całej pełni ujawniła się jej słabość, zarzucano—powtarzamy—że protegują bolszewizm że sami są zamaskowanymi bolszewikami niemal. I oto przyszedł dzień, w którym rozstrzygały się losy listy komunistycznych kandydatów do Sejmu. Pomimo jaskrawych błędów formalnych, pomimo udowodnienia, że cały szereg podpisów pod listą był fałszywy, endeccy przedstawiciele w komisji dyskretnie uchylili się od głosowania i zaakcentowania swego tak zaciekle kiedyindziej manifestowanego stanowiska wobec komunistów. Dzięki ich pomocy lista komunistyczna otrzymała sankcję komisji. Oni o wypuścili komunistów na ulicę, oni, którzy zawsze i wszędzie atakowali rząd za to, że niezbyt ich zdaniem — stanowczo walczy z komunizmem. Czyżby się obawiali zemsty komunistów? Czyżby do otwartej z nimi stanąć zapragnęli walki? Nie łudzimy się. Wiemy, że gdyby do takiej walki doszło, butni endecy zapełniliby piwnice i strychy, wypchali wypielęgnowanemi ciałami wszelakie przybytki bezpieczeństwa aż do niewygodnych schronów pod łóżkami, jak to już nieraz bywało, gdy toczyła się walka. Nie oczekujemy też od nich bohaterstwa, ale mamy prawo i musimy żądać rzetelności w stosunku do spraw Państwa. Za fałsz w tym stosunku, za ohydę kłamstw i przewrotności potępi ich znowu i ostatecznie zdrowy sąd opinji narodu.

* * *

KULISY ULEGALIZOWANIA LISTY KOMUNISTYCZNEJ odsłoniły raz jeszcze znaną już w Polsce prawdę. Doktrynerstwo, przedstawicieli lewicy odniosło zupełny, ale prawie absurdalny trjumf. Wprawdzie względy formalne przemawiały za skreśleniem listy nr. 14 i gdyby te same względy istniały przy jakiejkolwiek liście, napewno zostałyby uznane za znakomitą podstawę do jej unieważnienia. W stosunku do listy № 13 zastosowano inną miarę, albowiem... lękano się posądzenia o obawę oskarżenia, że się było niedość demokratycznym i liberalnym, Doktrynerskie stosowanie „zasad" wzięło górę nad względami natury formalnej i nad względami ogólno-państwowemi. Doktrynerstwo martwo i do litery „zasady" tylko stosowane z pominięciem zadań życiowych, mści się i mścić się musi na jego wyznawcach. Zemści się i tym razem, ale biadania z tego powodu nie będzie można na nikogo zrzucić.

* * *

SPRAWOZDANIA KOMISJI ANKIETOWEJ stanowiące owoc rocznych, nader mozolnych i drobiazgowych badań, winno stać się drogowskazem dla przyszłej polityki Rządu wobec przemysłu i handlu. Oparte na bezpośrednim podpatrzeniu życia, spojone jedną myślą — usprawnienia aparatu wytwórczości i wymiany, wnioski Komisji Ankietowej przedstawiać będą bezcenny dla kierowników życia gospodarnego materjał. Materjał ten nie może, jak tak wiele innych, spocząć w głębinach ministerjalnych szaf. Różni się on zasadniczo i djametralnie od rezultatów obrad rozlicznych konferencyj i „narad". Tam ogólniki i komu-

nały; tęskne, a zazwyczaj niezniszczalne i ze sobą sprzeczne różnych sfer; — tu suche, lecz zgoła realne i zupełnie konkretne propozycje i linje wytyczne działania. Stojemy przed nowym etapem polityki gospodarczej Rządu: dążeniem usilnem i wytrwałem do racjonalizacji produkcji i handlu, wyplenienia marnotrawstwa, ukrócenia niedołęstwa, wcielając w życie wnioski Komisji Ankietowej, narzucimy naszej gospodarcze za wzorem Zachodu tak niezbędny element planowości.

* * *

NA SZEROKIEM TLE SYTUACJI WSCHODNIO-EUROPEJSKIEJ, a zwłaszcza państw bałtyckich naszkicował nowy minister spraw zagranicznych Łotwy p. Balodis, ogólne wytyczne polityki zagranicznej swego kraju. Jak z tego exposè winika, tradycje zerkającego ku Wschodowi jego poprzednika, p. Cielensa, nie ugruntowały się na Łotwie. Wytężona akcja Sowietów, by wciągnąć kraj ten w orbitę je wpływów, rozbiła się o stanowczy opór łotewskiej opinji publicznej, czułej na wszelkie niebezpieczeństwa, zagrażające niepodległości Łotwy, nie wydała oczekiwanych rezultatów. Z zadowoleniem stwierdzić należy, iż p. Balodis worjentacji swej ujmuje misję pokojową bloku państw bałtyckich w sposób, zbliżony do stanowiska Polski w tej sprawie. Słusznie też kładzie nacisk na wieczysty sojusz łotewsko-estoński, jako podstawę polityki swego kraju. Na szczególną jednak uwagę zasługuje ustęp oświadczenia min. Balodisa, w którym określa on sprawę traktatu o nieagrasji z Z. S. S. R. — do czego dążył p. Cielens—jako nieaktualną. I na tym punkcie ujawnia się zupełna zbieżność stanowiska Polski i Łotwy. Bez zasady arbitrażu, którego Sowiety nie chcą uznać, traktaty tego rodzaju są nie do pomyślenia. Dopóki zatem Sowiety będą się bały arbitrażu, jak djabeł święconej wody sprawa układów o nieagresji, z nimi nie posunie się ani o krok naprzód. Rozumne są również uwagi min. Balodisa o t. zw. Lokarnie Bałtyckiem, które uważa za koncepcję przedwczesną, niemożliwą do urzeczywistnienia w warunkach dzisiejszych. Tanie frazesy tego rodzaju są raczej szkodliwe, aniżeli pożyteczne, stwarzają bowiem popularne fikcje, zaciemniające istotny stan rzeczy.

* * *

MOWA TRONOWA KRÓLA ANGIELSKIEGO z okazji otwarcia czwartej sesji obecnej kadencji parlamentu nacechowana była okolicznościowym optymizmem, znajdującym się w pewnej sprzeczności z nader poważnemi kłopotami jakie ma do zwalczenia imperjum brytyjskie w chwili obecnej. Jako zapowiedź polityki rządu Baldwina nie wniosła ona nic nowego do tego co znane było z licznych oświadczeń członków rządu. Debata, która się wywiązała po była zgodnie z tradycją, raczej aktem kurtuazji, niż zaakcentowaniem stanowiska stronnictw. W takich wypadkach opozycji prześciga w uprzejmości partję rządową. Nie należy też wnosić z tego, iż kontrasty wewnętrzne polityki angielskiej posiadają tak łagodny charakter. Z bardziej rzeczowych momentów jakie zawierała mowa królewska, zanotować należy pogląd na odprężenie sytuacji w Chinach w następstwie czego Wielka Brytanja wycofuje część swych sił zbrojnych z terenu chińskiego oraz wymijającą odpowiedź na amerykańską propozycję pokojową, w tym sensie, iż rząd brytyjski sprawę tę bada i rozważy ją wspólnie z dominjami.

* * *

PO NIESZCZĘŚLIWEJ UWERTURZE, ZA KTÓRĄ PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚĆ dualizm dyplomacji sowieckiej, zmuszonej częstokroć liczyć się nie mniej z kominternem, niż z Narkomindiełem, rokowania handlowe między Polską, a Sowietami mają być wkrótce podjęte. Chcemy wierzyć w dobre intencje ich inicjatorów ze strony sowieckiej. Polska opinja publiczna wszelkich odcieni powitała z zadowoleniem perspektywę nawiązania normalnych stosunków ekonomicznych z naszym wschodnim sąsiadem. Lecz dobre zamiary w rzeczach, wymagających specjalnej techniki i umiejętnego, ostrożnego traktowania, same nie wystarczają. O tem winni pamiętać nasi moskiewscy kontrahenci i dołożyć starań, aby przykre niespodzianki, podobne tej, która opóźniła rokowania, nie powtórzyły się w przyszłości. Naciągane argumenty, za pomocą których prasa sowiecka usiłuje dowieść, ze wina za — użyjemy tu najłagodniejszej terminologji — *qui pro quo* dyplomatyczne jakie miało miejsce w związku z przyjazdem naszych delegatów do Moskwy, spada na Polskę, nie wytrzymują żadnej krytyki. I wogóle nie bardzo do twarzy jest publicystom sowieckim w roli obrońców przepisów uprzejmości, na które powołują się „Izwiestja“. Artykuł tego oficjalnego organu Z. S. S. R., polemizujący, między innemi, z naszem wyjaśnieniem w całej tej sprawie, obchodzi się w sposób zupełnie bezceremonjalny z faktami, dobrze znanemi jego autorom. A jeżeli przytacza on, jako rzekomy dowód na korzyść dyplomacji sowieckiej, okoliczność, iż już po procesie ks. Skalskiego, z naszej strony wyrażona była chęć podjęcia rokowań, świadczy to tylko o tem, że przez nas uczynione było wszystko, by rokowania te rozpocząć, a nie, iż nasz kontrahent sowiecki spełnił dane nam zobowiązania. Od niego więc oczekujemy naprawy popełnionego błędu, co byłoby najlepszym dowodem szczerości jego inicjatywy i najlepszą rękojmią powodzenia rokowań.

* * *

KRÓTKOTRWAŁE RZĄDY SOCJALISTÓW w Norwegji ograniczyły się zaledwie ogłoszeniem ich programu. Jakkolwiek ani zapowiedź daleko idących reform społecznych, ani amnestja dla przestępców politycznych, ani też redukcja wydatków na armję, nie przeraziły kół politycznych Norwegji, inaczej wszakże reagowały na program gabinetu Hornsruda sfery gospodarcze, które w obawie przed zwiększeniem podatków, a kto wie, czy nie konfiskaty dochodów, poczęły wycofywać swe kapitały z kraju, lokując je w bankach zagranicznych. Wystarczyło dziesięciu zaledwie dni, aby wywołać panikę w sferze finansowej. W obawie przed obniżeniem kursu korony norweskiej, który z wielkim wysiłkiem został niedawno ustabilizowany demokratyczna partja Venstre odmówiła poparcia rządowi robotniczemu. Już w pierwszym dniu obrad Storthingu nad exposé premjera Hornsruda leader demokratów Mowinckel zgłosił votum nieufności dla rządu, „który w swem wstępnem oświadczeniu zaznaczył się wyraźnie, jako rząd jednej klasy“. Tracąc jedynego sprzymierzeńca „w obozie burżuazyjnym“, socjaliści norwescy, którzy posiadają w parlamencie tylko większość względną, zmuszeni zostali do stąpienia. Tak zakończyły się kilkunastodniowe rządy robotnicze w Norwegji. Nie znaczy to jednak, aby kryzys ministerjalny został załagodzony. Istnienie przyszłego rządu demokratycznego Mowinckela, nie posiadającego stałej większości w Storthingu, uzależnione będzie od stanowiska opozycji prawicowej i socjalistycznej.

* * *

ZMIANA RZĄDU W GRECJI, właściwie zaś rekonstrukcja umiarkowanego gabinetu Zaimisa, przeniosła punkt ciężkości politycznej nieco bardziej w prawo przez usunię-

cie ministra rolnictwa Papaanastassiu, przywódcy stronnictwa liberalno-republikańskiego ze składu rządu. Drobna sprawa udzielenia dostaw na rozbudowę dróg w Grecji, wywołała krótkotrwały kryzys gabinetowy, który został jednak dzięki energicznej postawie premjera szybko zażegnany. Zasada współpracy prawicy republikańskiej z umiarkowanymi monarchistami (Metascar) została więc nadal utrzymana.

* * *

GRADEM KAMIENI I WROGIEMI OKRZYKAMI powitali nacjonaliści indyjscy komisję parlamentu angielskiego, która pod przewodnictwem członka parlamentu Simona wydelegowana została do Indyj w celu zbadania na miejscu warunków, uzależniających udzielenie „perle korony brytyjskiej“ samorządu. Nagatywne swe stanowisko względem komisji parlamentarnej nacjonaliści uzasadniają obawą, iż nie zdoła ona oprzeć się przemożnym wpływom biurokracji angielskiej, rządzącej krajem od 300 lat. Zdaniem hindusów, parlament angielski winien był zwrócić się bezpośrednio do odpowiedzialnych reprezentacyj krajowych, samorządowych i stanowych Indyj, które bezpośrednio składały w Londynie swe postulaty przyznania Indjom uprawnień, przysługujących dominjom brytyjskim. Protest nacjonalistów indyjskich wypadł nader imponująco, wykazując wyjątkową w dziejach rozczłonkowanego i rozdrobnionego na kasty, wyznania i grupy o różnym poziomie kulturalnym społeczeństwa indyjskiego jedność. „Hartal“ (powszechna żałoba i wstrzymanie się od pracy), proklamowany na dzień przybycia komisji londyńskiej do Indyj, objął wszystkich niemal krajowców w Bombayu, Madrasie, Kalkucie, Benares i innych większych ośrodkach handlowych i przemysłowych półwyspu. Policja zmuszona była do rozpraszania manifestantów których czarne, żałobne transparenty nawoływały do walki z imperalizmem brytyjskim. Nie obeszło się też bezofiar: kilkunastu zabitych i rannych demonstrantów naliczono w dniu „hartalu“. Wicekról Indyj lord Irwin zwrócił się do zgromadzenia ustawodawczego w duchu pojednawczym, nie zadowoliło to jednak nacjonalistów, którzy twierdzą, powołując się na przykład Stanów Zjednoczonych, Egiptu i Irlandji, że Anglja nie ma zwyczaju dawać cokolwiek naskutek czołobitnych próśb. Przy takim stanie umysłów bojkot komisji parlamentarnej, proklamowany przez niepodległościowców indyjskich, pociągnąć może za sobą nader opłakane skutki.

* * *

PROŚBĘ O WOLNOŚĆ doręczył parlament Porto-Rica kapitanowi Lindberghowi, który został obecnie „ambasadorem wolności“, — celem przedłożenia jej narodowi Stanów Ziednoczonych. Trawestując dewizę „wolność lub śmierć“, izba ustawodawcza Porto-Rica zwraca się do Ameryki Północnej z następującem pismem: „Dajcie nam wolność, którą sami się cieszycie, za którą walczyliście, którą uwielbiacie — zasługujemy na nią i nam ją obiecano. Prosimy o prawo zajmowania miejsca pod słońcem dla naszego kraju“. Na uroczystem posiedzeniu parlamentu oryginalna ta prośba o wolność została odczytana w językach hiszpańskim i angielskim, poczem doręczono ją Lindberghowi. Po raz pierwszy w dziejach pismo jednego narodu do drugiego przewiezione zostanie drogą powietrzną. Nie należy jednak łudzić się, iż poskutkuje ono wobec tego na yankesów bardziej dla Porto-Rica pomyślnie, niż gdyby zostało nadane przez kabel lub radjotelegraf.

STEED PODCZAS WOJNY I PO WOJNIE.

GARŚĆ REWELACJI HISTORYCZNYCH.

W drugim tomie swych pamiętników *) Steed opisuje swój udział w politycznej stronie wojny i w wypadkach okresu powojennego. Udział ten był ściśle związany z osobą i działalnością lorda Northcliffe'a, który na parę lat przed wojną utworzył potężny concern prasowy z „Times'em“ na czele i zrobił Steeda redaktorem jego działu politycznego. Nie ulega wątpliwości, że w antecedensach wojny oraz w samej wojnie concern Northcliff'a „pars magna fuit“. Gdy przyszły gorące dni lipcowe w 1914 r. postawa Anglji nie była zupełnie pewną i zdeterminowaną. U steru stał gabinet liberalny, w którym było kilku zdecydowanych przeciwników przystąpienia Anglji do wojny. Ambasador Francji w Londynie Cambon nie mógł otrzymać od Greya konkretnej obietnicy. Zaniepokojony w najwyższym stopniu powiedział w rozmowie do Steeda: „nie wiem, czy wyraz „honor“ nie powinien być wykreślony ze słownika angielskiego“. Po kilku latach przypominał autor tę rozmowę Cambonowi, dodając, że chociaż Anglik, nie uczuł się nią obrażony, gdyż chwile były bardzo ciężkie, a odpowiedzialność ambasadora ogromna.

Autor przyznaje się, że Northcliffe trafniej od niego zrozumiał trudności wojny i przewidział jej długość, Według Steeda miała się ona skończyć na wiosnę 1915 roku, Northcliffe rozkładał ją na lata. Atoli jeden i drugi byli najzupełniej jednomyślni w tem, że nie może być mowy o żadnym kompromisie i wojna bez względu na trudności i ofiary musi się skończyć zupełnem zwycięstwem Anglji i Koalicji.

Za wpływem Northcliffe'a i jego prasy Asquith powołał Kitschenera na ministra wojny. Wkrótce jednak potężny król prasowy zwątpił cokolwiek o uzdolnieniach Kitschenera i zaczął przeciw niemu dość widoczną kampanję. Sprawę niezależnie od niej rozstrzygnęła mina niemiecka, która zatopiła krążownik angielski wraz z ministrem i wodzem, udającym się do Rosji. Wschodziła gwiazda Lloyda George'a, który został ministrem wojny i sięgał po stanowisko kierownicze.

Domagał się on od Asquitha wyodrębnienia z rady ministrów ściślejszego grona, któreby stanowiło gabinet wojenny i odbywało codzienne posiedzenia. Prezesowstwo tej rady Lloyd George

*) *Henry Wickham Steed.* „Mes souvenirs 1914—1922“. O pierwszym pisaliśmy zeszłego roku.

przeznaczał dla siebie, a to oczywiście pociągało degradację Asquitha, którego premjerstwo stałoby się odtąd czczym tytułem. To też Asquith nie chciał się na to zgodzić, a Lloyd George groził ustąpieniem, ale zdecydował się podać do dymisji dopiero wtedy, gdy Northcliffe ofiarował mu poparcie „Times'a".

Doszło do przesilenia gabinetowego. Król wezwał do siebie przywódcę konserwatystów Bonara Lawa, lecz ten rekomendował na naczelnika rządu Lloyda George'a.

I rzeczywiście do końca wojny ani wydawca ani redaktor polityczny „Times'a" nie mieli powodu uskarżać się na tę nominację. Wśród ciężkich przejść i klęsk Lloyd George zachował niezłomną odwagę i energję i, jak powiedział później autorowi Bonar Law, raz tylko jeden stracił głowę. Było to 21 marca 1918 roku po przerwaniu przez Niemców frontu koalicyjnego. Ale konsternacja jego trwała tylko kilka godzin i minęła tego samego dnia. Później zaś nastąpiła na froncie bojowym poprawa i szła dalej aż do zwycięskiego końca.

O ile wszakże wielkim okazywał się Lloyd George w zmaganiach zaciętej walki, o tyle zmalał bardzo, skoro jej gromy umilkły. Obudził się w nim znowu dawny demagog i intrygant.

Lord Northcliffe i Steed w obszernym zakresie popierali na kongresie politykę Francji, której stawiał przeszkody Lloyd George nawet wbrew popierającej go większości konserwatywnej izby gmin. Pomiędzy nim a Clemenceau zachodziły nieraz ostre starcia, gdy zaś w kwestji zagłębia Saary premier francuski zarzucał swemu angielskiemu koledze nielojalność, ten uniósł się tak, iż schwycił go za kołnierz i zażądał usprawiedliwienia. Obecny przy tem Wilson zdołał rozdzielić i uspokoić dwu poróżnionych polityków. Clemenceau odpowiedział, że może spotkać swego przeciwnika ze szpadą i pistoletem i na tem się rzecz skończyła.

Ale więcej jeszcze premjer francuski miał kłopotu z Wilsonem. Zwierzał się z tem przed Steedem, gdy ten radził mu pomówić z prezydentem.

— Mówić do Wilsona, zawołał stary tygrys. Jakże mogę mówić do osobnika, który jest przekonany, iż jest od dwuch tysięcy lat pierwszym człowiekiem, który coś zrozumiał z kwestji pokoju na ziemi; Wilson uważa się za drugiego Mesjasza. Wyobraża sobie, że jest posłany, aby przynieść pokój światu i że jedynie są coś warte jego pojęcia, z góry powzięte. Wszystko zrobiłem, aby mu być przyjemnym; przyjmuję go na stopniach schodów, jakgdyby był królem Anglji i pomimo tego nie jest zadowolony.

— Może lepiej byłoby, panie prezesie, zamknąć się z nim w pokoju na dwie lub trzy godziny, aby rzecz dobrze wyjaśnić.

— Nie, nie zawołał Clemenceau. Gdybyśmy się nawet zamykali na całe godziny, nie zbliżylibyśmy się do porozumienia...

W innych wszakże okolicznościach umiał stary tygrys rzucić dowcipny żart, który pozwalał na chwilę zapomnieć o urzędowej surowości kongresu.

Delegat włoski Tittoni prosił, aby nie zaczynano posiedzeń zbyt wcześnie, gdyż ma zalecone spanie przed śniadaniem. Delegat amerykański Polk miał znowu zaleconą sjestę przed obiadem. A więc dobrze, zakonkludował Clemenceau. Posiedzenia rady będą się zaczynały o pół do czwartej i kończyły o pół do siódmej. P. Tittoni będzie spał przed posiedzeniem, p. Polk po, a p. Balfour wyśpi się... podczas posiedzenia.

Istotnie sędziwy minister angielski ulegał podczas nużących rozpraw drzemce. Nie przeszkodziło mu to jednak doskonale wywiązać się z misji na konferencję waszyngtońską, urządzoną przez prezydenta Hardinga i jego sekretarza stanu Hughesa. Obserwując na gruncie jego sukcesy polityczne i towarzyskie wśród yankesów, Steed wyjaśnia je purytańskiemi nałogami i tradycjami Balfoura, które w dziwny dla obcej umysłowości sposób łączą się u niego z elegancją światowca i upodobaniami pisarza filozoficznego.

Steed występuje w swych pamiętnikach jako zdecydowany szermierz koalicji, który z tego specjalnego punktu patrzy na inne narody. Okazuje bezgraniczną sympatję dla Czechów i Serbów, nie lubi Włochów. Wydaje się całkowicie człowiekiem minionego okresu, w którym tak wybitną odegrał rolę.

T. Grużewski.

Zagadnienie nowej demokracji i organizacja pokoju światowego.

Ostatni numer „Revue de Paris" podaje bardzo interesujący wywiad p. J. Suarez z senatorem Henry de Jouvenel jednym z najzdolniejszych polityków francuskich; b. ministrem i wysokim komisarzem Syrji, oraz delegatem francuskim Ligi Narodów, którą ostatnio opuścił z powodu niezgodności poglądów z min. Briand'em.

Przytaczam niżej kilka ciekawych i charakterystycznych poglądów świetnego męża stanu.

Polityka, oświadcza p. de Jouvenel to albo najgorszy z zawodów, albo przedsięwzięcie ku szczęściu narodów. To ostatnie określenie stwarza jej wielkość.

Powiadają, że Francuz, to zwierzę polityczne, przyjmuję to jako zaszczytną definicję mego narodu, ponieważ świadczy o tem, że Francuzi mają zmysł dla spraw publicznych.

Polityka to szczęście drugich, polityk to lekarz, który co rano bada puls ludzkości, lekarz który cierpi na brak wiedzy, który nie dorasta do okoliczności, ale jednak lekarz. Czasem mu się uda uleczyć ranę indywidualną lub społeczną i wówczas doświadcza tego co można nazwać prawdziwą radością.

Polityka powinna zapewniać umysłom ludzkim wolność. Sprawa wolności była sprawą wieku zeszłego, dziś trzeba pracować nad zapewnieniem dobrobytu wewnątrz i bezpieczeństwa zewnątrz.

Wolność, pomyślność bezpieczeństwo oto trzy terminy realnej polityki.

Ludzie naszej generacji, generacji Paul Boncour'a, Tardieu i innych, powinni już myśleć o tem, jak będzie brzmiał ich testament, co Francja po nich odziedziczy?

Ekonomiczna organizacja demokracji, restaurację państwa, techniczna organizacja pokoju, oto co powinniśmy po sobie zostawić.

Wolność, pomyślność, bezpieczeństwo i realizm, realizm, realizm, oto słowa, którebym chciał wbić w głowy naszych współczesnych.

Realizm nie polega na życiu z dnia na dzień przeciwnie, polega na bezustannej trosce o dzień jutrzejszy, na pracy dla swego kraju, a nie dla jakiegoś kraju idealnego, pomiędzy niebem i ziemią. Każdy realista powinien uwzględnić tę prawdę, że kraj nasz jest krajem zbytku. Przemysł przedmiotów zbytku stoi na drugiem miejscu naszego eksportu, a jeszcze większe od przemysłowego ma znaczenie eksport intelektualny: urok literatury Francji, jej sztuk pięknych, jej mody oraz urok Paryża. W kraju zbytku nie należy deklamować przeciw zbytkowi, ale trzeba dążyć do jego rozpowszechnienia.

— Przedewszystkiem co to zbytek? ciągnął dalej senator. Zbytek dnia dzisiejszego to konieczność dnia jutrzejszego. Stało się tak, i dzieje dotychczas, z elektrycznością, hygjeną, opałem, samochodem i tem wszystkiem, co do niedawna zdawało się być tylko przywilejem niewielu. Postęp możemy nazwać inaczej rozpowszechnieniem zbytku. Weźmy dwa różne kraje: Ameryka i Rosja. Jeden z nich zrozumiał, drugi nie. W jednym robotnik przyjeżdża samochodem do fabryki, drugi zajmuje cały kontynent. Z jednej strony zbytek jest godnością ludzką, z drugiej nędza i niewola.

Ja wybrałem pierwszą drogę!

Aby uzyskać tę pomyślność do której powinniśmy dążyć, należy przedewszystkiem stworzyć dyscyplinę narodową wyłączającą zmienną większość i pracować nad rozbudową państwa. Obok Parlamentu politycznego powinien istnieć Parlament ekonomiczny. Parlamentarna większość polityczna powinna mieć w republice ostatnie słowo, ale powinna być oświecona. Dotychczas brak tej oświaty w Izbach. Warunki naszej pracy parlamentarnej są opłakane...

Istnieją dwie ewentualności: albo państwo zorganizuje syndykalizm, albo syndykalizm zorganizuje się, jak to się już dzisiaj dzieje, przeciw Państwu. Blizko ćwierć wieku protestuje się przeciwko syndykatom urzędniczym, oskarża się również kartele, a przecie one stale wzrastają w siłę, podczas gdy demokracja zostaje niezorganizowana. Równie niewyzyskany jest element włościański, bezsilny z powodu swego rozproszenia. Obok Federacji Urzędniczej należałoby postawić Federację Rolną, znieść nieprzenikliwe ściany istniejące pomiędzy czterema rodzajami producentów: chlebodawcami, najemnikami, rolnikami i intelektualistami, ściany, które je rozdzielają wzajemnie oceanami niewiadomości.

Interes państwa polega na tem aby być inicjatorem tego połączenia, w celu zapobieżenia utracie równowagi, nad którą dziś cierpi państwo, dozwalając by 39 miljonów Francuzów było rządzonych przez miljon członków syndykatów. Tu również zamiast deklamacji przeciw syndykalizmowi, należy go upowszechnić. Na tej drodze bylibyśmy bliżsi ideału prawdziwej demokracji. Urzeczywistnienie tego projektu wymaga jednak bezpośredniego kontaktu pomiędzy polityką a produkcją realizmu, który godzi ideje danego kraju z jego interesami. Władze państwowe powinny ogarniać całość zagadnień narodowych ekonomicznych i społecznych, w zespole ich sił ekonomicznych i społecznych, które należy skoordynować. Parlament ekonomiczny byłby drogą do zmodernizowania Francji, drogą do pomyślności.

P. Jouvenel wydał się w tej chwili rozmówcy natchniony entuzjazmem człowieka, który znalazł prawdę i nią żyje.

W pierwszej linji, ciągnął dalej, należy nam wziąć pod uwagę, że wojna nie jest zlikwidowana. Wielkiem zagadnieniem naszej epoki to konieczność uzgodnienia postępu demokracji z wymogami finansowemi. Zaniedbywać to zagadnienie to pchać kraj ku otchłani. Należałoby uprościć system podatkowy, ograniczyć podatki pośrednie, które paraliżują wymianę, zająć się kosztami transportu itd.

Idealizm w sprawach finansowych jest niedopuszczalny, błędy w tej dziedzinie nie mogą być naprawione, trzeba je płacić... Dodatkowe 11 miljonów, które Francja jest obowiązana zapłacić, pouczają ją o kosztach nieostrożności.

Finansowa likwidacja wojny, wyzyskanie możliwości ekonomicznych Francji i jej kolonji nie ma pozorów świetnego programu finansowego na przyszłość, ale jest w każdym razie programem realnym. Tu jednak jak wszędzie zagadnienia międzynarodowe górują nad narodowemi.

Nie będę powtarzał powszechnie znanych poglądów moich na Ligę Narodów. Nie powinniśmy poprzestać na Locarno; to zn. na systemie zapewniającym bezpieczeństwo Europie Zachodniej, ale powinniśmy rozszerzyć ten system, aby zabezpieczyć całą Europę.

Właśnie ową tezę podjęła delegacja francuska na ostatniem posiedzeniu w Genewie. Nasze pokolenie, które przeżyło wojnę i mogło następnie zbadać jej przyczyny powinno wiedzieć, że nie można klęski zlokalizować z chwilą nowego pożaru, płomienie zajęłyby wszystkie narody, a granice neutralności i zabezpieczenia dyplomatyczne rozwiałyby się jak źdźbła słomy.

Możemy i powinniśmy odczuwać wdzięczność dla p. Briand'a za osiągnięcie pierwszego etapu — co jednak nie przeszkadza nam, po dokonanem dziele pomyśleć: A teraz trzeba iść dalej. Dalej do uregulowania problemów, będących jeszcze w zawieszeniu, metodą międzynarodowych układów.

Czy wierzy Pan w możliwość wieczystego pokoju? spytał na zakończenie p. Suarez, czy nie jest on, zdaniem Pana marzeniem jedynie?

— Koleje żelazne, parowa żegluga, telegraf i telefon z drutem i bez drutu, lot ponad Atlanty-

kiem były marzeniami, lub przynajmniej uchodziły za takie. Niema marzeń, są tylko zagadnienia techniczne.

Wierzę całkowicie w techniczne rozwiązanie zagadnienia pokoju. W 1914 r. Europa była zorganizowana dla wojny, a nie była nią dla pokoju. Narzędzia wojny były gotowe, ale nie było aparatu pokojowego, byli przeciwnicy, a nie było arbitrów.

Dziś istnieje Liga Narodów, jest jesze słaba, ale w mierze, na jaką pozwalamy jej być słabą. Trzeba przygotować mobilizację pokoju, równie dokładnie jak mobilizację wojskową, wzmacniać z dnia na dzień Ligę i przyzwyczajać naród do stałego odwoływania się do niej w każdym konflikcie..

Na tem oświadczeniu zakończył p. de Jouvenel rozmowę i wrócił do korekty swego życiorysu Mirabeau, mającego się ukazać w druku w najbliższym czasie. *M. Cz.*

PROBLEMAT GDYNSKI.

Kilkakrotnie już poruszaliśmy na tem miejscu wysoce nienormalne stosunki, panujące obecnie w Gdyni. Miasto to rośnie. Z małej wioski powstaje wielki ośrodek życia portowego. I ta rosnąca jednostka pozostaje pod zarządem tych—którzy zdolni, właściwie mówiąc, byli rządzić tylko wioską.

Oczywiście, że rządy te są poprostu fatalne. Zamiast niezbędnych inwestycyj, zarząd miasta rzucił się na drogę spekulacji gruntami, aby podbić cenę ziemi na miejscu i bardzo szybko doprowadził do tego, że zabrakło pieniędzy nietylko na wydatki normalne, ale na opłacenie procentów od zaciągniętych pożyczek. Wtedy zawisło nad Gdynią bankructwo, z którego mogła ją wybawić jedynie interwencja państwowa.

I Państwo interwenjuje. Daje już nie tylko wysoki i dogodny kredyt, daje poprostu pieniądze, zapomogi, subsydja. Ale znowu pieniędzmi temi gospodarzą ci sami mali ludzie, te same ciemne jednostki. Czy to jest racjonalne, pozwalamy sobie wątpić. A rzeczywistość na każdym kroku powiększa te wątpliwości stwierdzając, że ludzie ci bardzo umieją chodzić około swoich interesów i znacznie więcej dbają o nie niż o miasto.

Rozwój Gdyni to zagadnienie par excellence państwowe. Odbywa się on na koszt Państwa i na rzecz państwa. Zainteresowani w nim są wszyscy obywatele Rzeczypospolitej nie tylko obecni mieszkańcy Gdyni. To też gospodarzem w niej musi być sam rząd, jako taki, nie tylko pewna grupa uprzywilejowana, która i tak robi na rozwoju miasta kolosalny interes. Szybki rozwój Gdyni sprawia, że ci co głosowali podczas jednych wyborów samorządowych, już nazajutrz stanowią znikomą mniejszość. I jeszcze dalej. Gdynia stale ma więcej ludności zarobkującej dojeżdżającej niż zamieszkującej ją. To wszystko sprawia, że demokracja samorządowa na tym gruncie jest w ist:ocie pseudodemokracją wytwarzającą dwie klasy rządzącą mniejszość i jakichś metojków rządzonych—olbrzymią większość reprezentującą tu wszystkie, najpopoważniejsze interesy, zarówno pracy jak i kapitału. To też utrzymywanie tu nonsensu samorządowego jest i bezpodstawne teoretycznie i praktycznie szkodliwe.

Niestety, uznając to wszystko, nie możemy się zdobyć na wyciągnięcie jedynie słusznej konsekwencji, jaką byłoby rozwiązanie obecnej Rady miejskiej i przekazanie jej kompetencji Komisarzowi Rządowemu. Różne resorty wypowiadają się za tem, ale kiedy przychodzi do zrealizowania sprawy wy kończy się na pół-środkach, w rodzaju wysuwania jakichś doradców z prawem veto, doradców, którzy mając bodaj największe zaufanie rządu, nie będą mieli właśnie tego, co jest najpotrzebniejsze w całej tej sprawie — inicjatywy. Ostrożność jest wskazana. Sparzyliśmy się raz na nieudolnej próbie ze starostwem morskiem (przed którą „Głos Prawdy" ostrzegał w swoim czasie). Ale z tego nie wynika, byśmy mieli zaniechać energiczniejszych kroków, w strachu przed naruszeniem normalnego ustosunkowania się wzajemnego władz. Rozrost portowego miasta w żaden sposób nie da się podciągnąć pod strychulec normalności i sam przez się stanowi zupełny wyjątek w naszem życiu.

Rozumiemy, że okres wyborczy nie sprzyja przedsiębraniu większych postanowień, że w czasie gorącym chętnie odkładamy najważniejsze sprawy, zagadnienie Gdyni jednak nie cierpi zwłoki. Miasto się buduje, miasto rozwija się anarchicznie i z dnia na dzień upodabnia nie tyle do Hamburga lub Gdańska, co do Borysławia lub innej jakiej dziury od której niesie więcej spekulacją, co zdrowym interesem.

Ostrzegamy czynniki miarodajne przed zwłoką. Ostrzegaliśmy w swoim czasie przed pośpiechem—życie wykazało, że mieliśmy rację i trzeba było cofać się po niewczasie. Teraz grozi nam poważne niebezpieczeństwo że popełnione zostaną błędy nie do odrobienia. Odpowiedzialnym za Gdynię musi być sam rząd. jako taki i nikt inny. Rządzić w Gdyni powinien bezwarunkowo komisarz rządowy.

A. Uziembło.

O organzację funduszu wiertniczego.

Dyskusja wokół organizacji funduszu wiertniczego toczy się od grudnia u. r. Sprawę tę poruszaliśmy już na łamach naszego pisma. Obecnie drukujemy nadesłany nam tekst listu, jaki ostatnio w tej kwestji wystosował do p. Ministra Przemysłu i Handlu prezes Związku Polskich Przemysłowców Naftowych i członek subkomitetu dla zorganizowania funduszu wiertniczego p. inż. Marjan Wieleżyński.

„Miałem zaszczyt przesłać Panu, Panie Ministrze, swój projekt dla zorganizowania Państwowego funduszu wiertniczego.

Wobec tego, że prace subkomitetu zostały

10 b. m. ukończone, a plenum komitetu zapowiedziane na dziś, nie zeszło się pozwalam sobie przesłać pisemnie motywa, które mnie skłoniły do sformułowania mojego projektu.

Uważam, że fundusze zebrane drogą zwyżki cen produktów na podstawie kartelu aprobowanego przez Rząd i z udziałem Polminu, stanowią subwencje społeczeństwa dla przemysłu naftowego Odmawiam tytułu własności dla obcych firm do tej subwencji i dlatego wybrałem formę państwową dla funduszu wiertniczego, zresztą tylko drobna część nadwyżki miała być przeznaczoną na rzecz funduszu wiertniczego. Według autoratywnych oświadczeń fachowców, cena, jaką, się dziś uzyskuje za produkty ze 100 kg ropy wynosi s. 3.80—4.00. Potrącając z tego cenę ropy (s 2.10) oraz koszty przeróbki (w Polminie) s. 0.55, otrzymamy nadwyżkę dla amortyzacji urządzeń i t. p. w kwocie s. 1.15—1.35 za 100 kg. przerobionei ropy, co stanowi przy produkcji 5000 wagonów ropy miesięcznie okolo s. 600,000 — zaś na fundusz wiertniczy wszystkie firmy zobowiązały się dawać około s. 30.000 miesięcznie, czyli 5 proc. swego zarobku. Cyfry te możnaby skontrolować wynikami ankiety dla badania kosztów produkcji i przypuszczam, że wyniki tych badań będą zabójczą krytyką dotychczasowej gospodarki w przemyśle naftowym. Uważam, że oddawanie subwencji społeczeństwa w ręce firm, stojących na brzegu bankructwa, przez szereg lat nie płacących ani podatków dochodowych, ani dywidendy, nie daje rękojmi należytego zużycia tych funduszów z takim trudem zebranych od ubogiego społeczeństwa polskiego.

Jeżeli państwo obejmie zarząd nad funduszem wiertniczym, będzie zapewniony jednolity kierunek pracy, będzie odpowiedzialny gospodarz, który wykona pracę w interesie Państwa i obywateli. W szczególności spodziewają się robotnicy naftowi, że stworzywszy robotnicze spółki spółdzielcze, potrafią otrzymać akordowe wiercenia, zaś polscy technicy spodziewają się, że gdy posiadać będą część funduszów własnych (np. 25 proc.) fundusz wiertniczy udzieli im resztę kosztów wiercenia (np. 75 proc.), które w razie niepowodzenia przepadną zaś w razie dowiercenia się ropy dług zostanie spłacony 120—150 proc.—celem odnowienia funduszu wiertniczego. Takie postępowanie wskrzesiłoby dawne tradycje polskiego przemysłu, który pod rządami zaborców zaginął, ale teraz może być odbudowany, gdyż posiadamy wszystkie elementy tego przemysłu. Posiadamy tereny, ludzi i materjał wiertniczy, brak nam tylko kapitału do wykonania pierwszych kroków na większą skalę. — Proszę o rozważenie, czy subwencje społeczeństwa należy obrócić na rzecz kapitału obcego, który krajowi podatków nie płaci, a w swoim projekcie nie chce dać żadnej ingerencji rządowi polskiemu, jako instytucji dla siebie obcej, a może według nich nawet wrogiej, czy też poprzeć nasze usiłowania, które dążą do utrwalenia niezależności Państwa.

W końcu nadmieniam, że wszelkie wiercenia poszukiwawcze będą chromały tak długo, jak długo nie wejdzie w życie nowa ustawa naftowa, która zabezpieczy pionierom a temsamem nowemu towarzystwu prawa do odkrytych złóż ropnych".

„GŁOS PRAWDY" LITERACKI

POD REDAKCJĄ J. KADEN-BANDROWSKIEGO.

DWIE PRÓBY.

Podobno całe pokolenie młodych pisarzy polskich pracuje obecnie nad formą powieściową.

Mało powiedzieć nad formą! Nad wziętemi już na warsztat powieściami.

Zaczynali jako poeci, czy też noweliści i oto w pewnej chwili chwili po takich, czy innych próbach stwierdzili, że trzeba przejść do powieści, Na decyzję taką musiały wpłynąć chyba poważne czynniki, tembardziej, że o ile poezje uchodzić mogą za pracę wdzięczną, lecz lekką (20—25 wierszy zebranych i już jest tomik i już są krytyki i już znów nowa sława) o ile dramat (rzekomo najtrudniejszy: ścisłość dramatyczna) nęcić może pisarza bogactwem bezpośredniej ekspresji i w danym razie efektem powodzenia w masach, o tyle powieść nikogo nie może w Polsce nęcić żadnemi ułudami duchowych czy materjalnych powodzeń.

Opłacana przez niepoczytalną chciwość wydawców gorzej, niż,—licząc od wiersza — przeciętny dziennikarski reportaż, wypadki, przejechania, morderstwa, pozbawiona opieki i pomocy poważnej krytyki nie może być forma powieściowa ani materjalnie, ani moralnie, jako niewdzięczna, a trudna a wymagająca długiej pracy—ponętnym gatunkiem artystycznej działalności.

Jeżeli więc, — mimo tych cierni, — pisarze w innych dziedzinach już wyrobieni, — zasiadają do tej właśnie formy, to widocznie jakieś siły wyższe istnieją, które ten właśnie sposób wypowiedzi wskazują natchnieniu.

Sądzę, iż ową siłą wyższą jest duch czasu, przedewszystkiem zaś okres budowy i przewartościowań, w jakiej się nasz kraj i Europa znajduje.

Dojrzewają w formach bytowania dzisiejszego społeczeństwa procesy, których nie można załatwić wierszem a nawet poematem. Procesy z któ-

remi niepodobna mierzyć się za pomocą zbiorków nowel i t. zw. prozy poetyckiej. Procesy poważne, wymagające rodowodów z przeszłości, syntez całej bieżącej chwili a nawet proroczych uogólnień na przyszłość.

Ledwie wyszliśmy z wojny, gdy przywalił nas,—jako Europę,—straszliwy wór dolarów amerzkańskich z nim zaś zagadnienia amerykanizacji życia. Pod naciskiem czynników tych zachwiał się cały światopogląd kary, nagrody, winy i odpowiedzialności. Równocześnie w oczach naszych narasta, powojenna nieoczekiwana nowość życia, nowość pokoleń, jaskrawo od nas odmiennych.

Trzeba koniecznie wyrazić, ująć tę ogromną chwilę, godną zaiste balzakowskiego porachunku.

Proza polska jest naogół wobec ogromów tego porachunku bezsilna. Składa się na to wiele przyczyn zrozumiałych, lecz o przyczynach tych a nawet może o rzeczy właściwej nie będziemy w tej chwili rozprawiali.

Chcemy raczej z pośród ostatnich wydawnictw wyłonić zadatki, zdolności pisarzy, którzy choć w części będą może mogli podjąć olbrzymi trud porachunku oraz tych, którzy do wielkiego zadania zdają się podchodzić w niestosownem uzbrojeniu i od fałszywej strony.

Leżą przed nami dwie typowe pod tym względem książki. Jerzego Kossowskiego „Zielona Kadra", i Jerzego Szaniawskiego — Łgarze pod „złotą kotwicą" *).

Zwracamy na te dziełka uwagę nie tylko dla tego, że tak wydatnie różnią się od siebie, lecz ze są poniekąd typowemi objawami prób nader wyraźnych; Udałej i nieudałej.

Udałą próbą artystyczną nazwać musimy książkę J. Kossowskiego. Wiadomo: To i owo mogłoby tu być lepiej zrobione. Szkicowo, niedbale nawet przeciwstawiane momentom wojny i ofiary życia motywy miłości, pobieżnie, niejako od zewnątrz traktowane charaktery kobiece, w wielu razach język opowiadań zdawkowy i t. p. Nie mniej przeto odnajdujemy w tej książce cechę rzadką w młodej naszej literaturze a mianowicie — konkretność.

Konkretność, czyli wszystkie dobrodziejstwa, które z tego pojęcia wynikają. Kossowskiemu chodzi o pewien określony świat o takich a nie innych, określonych ludzi. W danym czasie i przestrzeni w danych uzależnieniach społecznych, uczuciowych i organizacyjnych.

Stwierdzić więc musimy, iż, jak na nasze stosunki autor rozumie rzecz zgoła niebywałą: Rozumie, iż nietylko wprowadzić trzeba na widownię żywych ludzi, nietylko musi się między nimi coś określonego dziać, do czego oni ustosunkowują się w miarę swych duchowych właściwości, lecz nawet,—że to wszystko oparte być musi o tło czasu i epoki.

*) Jerzy Kossowski: Zielona Kadra. Gebethner i Wolff Warszawa.

Jerzy Szaniawski. Łgarze pod „złotą kotwicą" Hoesick. Warszawa 1928.

Dzięki rozumieniu tych elementów książka Kossowskiego jest żywą, ma perspektywę, posiada głębię planów.

Oczywiście! Gdyż wszystko jedno,—w dziele sztuki,—jakie życie, byle żywe. A więc widziane, słyszane, dotykane, poczem przetworzone mocą artystycznego wyboru i świadomej syntezy przekonań.

Autor wywołał w swej książce temat przebrzmiały: Życie okopów austrjackich — austrjacką wojnę światową. Zdawałoby się,—jeden z najniewdzięczniejszych tematów chyba. Daremna a niechętna walka ludzi związanych przymusem, ludzi nieożywionych żadnym ideałem. A jednak w opisie tych wojen, bitew, łazęg, dzięki konkretności czucia i metod, dzięki stałej pamięci o żywym człowieku, jako ośrodku twórczości udaje się Kossowskiemu trzymać uwagę czytelnika w stałem napięciu, ba, co więcej! Osiągać rzeczy nader trudne, które świadczą o „epickim" (czyli poprostu, zdrowym) talencie pisarza; Kossowskiemu udaje się tworzenie syntez zbiorowości.

Ekscelencja cesarsko-królewska w noweli „Tomek", — to przecie synteza austrjackiej armji, porucznik Hodas to przecież synteza żołnierza bez ojczyzny, tak wstrząsająca nowela p. t. „Kawerna Nr. 7" to przecie synteza tragizmu dyscypliny wojskowej.

Jerzy Kossowski pracuje racjonalnie. Przeżywał swój temat praktycznie. Potem zorganizował go, jako zagadnienie. Potem starał się zagadnienie napowrót wkomponować w opanowane już przeżycia.

Przeciwieństwem dobrej metody i dobrych założeń Kossowskiego jest książka Jerzego Szaniawskiego. Zdolny pisarz sceniczny nie zorjentował się tu, przedewszystkiem, w różnicach metod pisarskich. Zapomniał, że w książce pisanej nic mu nie pomoże dekoracja, oświetlenie, intonacja aktora. reżyser i t. p. Szaniawski zapomniał, że pisarz książek musi sam być w swych zdaniach, opisach, w rozkładzie opowiadania reżyserem, aktorem, dekoracją, oświetleniem, rekwizytem, intonacją, rzeczą właściwą i najdrobniejszym szczegółem.

Pomińmy jednak sprawę nader ubogiej i wadliwej techniki pisarskiej tych opowiadań i przejdźmy do założeń głębszych.

Szaniawski chcąc dać istotę życia w stylizacji, w przenośni oczyszcza sobie teren, destylując wszystkie elementy opowiadania z cech konkretności życiowej. Wszystko dzieje się w jakimś niewiadomym kraju. czyli właściwie nigdzie. Wyprowadzeni przez autora ludzie, żyją tylko tem, co wspomaga przeprowadzenie tezy autora.

Destylacja tego rodzaju prowadzi do zaniku wszelkich istotności. Pozostają wkońcu zamiast postaci same propozycje autora. Propozycje te, utraciwszy kontakt z rzeczywistością stają się tezą, im bardziej oderwaną, tem,—rzecz prosta, — bardziej papierową.

Papierowość owa sprawia, że nietylko przestajemy wierzyć autorowi, lecz, że wyczuwamy dowolność jego propozycyj. Sprawy będące w próżni czasu, epoki, środowiska tracą wartość założeń,

jak straciłyby wartość ruchu figury na szachownicy, której dalibyśmy nieobliczalną ilość pól.

Praca poczyna obracać się w próżni. Wtedy Szaniawski całkiem świadomie wydłuża pewną stronę zagadnienia, czy postaci do rozmiarów paradoksu. Mogło to się udawać na scenie, gdzie paradoks taki popierali żywą swą konkretnością aktor, rezyser, dekoracja, światło i t. p, Eksperyment taki jednak nie może udać się na terenie prozy. t. j. terenie najbardziej pisarsko konkretnym, wymagającym rzetelnej kompozycji niewiadomej zgóry ilości kartek papieru.

Kartki pustego papieru, w przeciwieństwie do kulis i wszystkich przyborów teatralnych nie pośpieszą same na pomoc. Musisz tu powiedzieć, kim jesteś i czego chcesz,—inaczej nie zorganizujesz tych kartek i nikt ci w tem nie pomoże.

Z obu debjutów wynika dla przyszłych prozatorów cenne doświadczenie, a mianowicie. W ciężkich i wielkich czasach dzisiejszych im bliżej obserwacji życia—tem lepiej,

Juljusz Kaden-Bandrowski.

Grusza.

Gdzieś w głębokich pokładach wspomnień w warstwach zapomnienia
rośniesz dzika i chłodna, jak dawniej na miedzy
między łanami zbóż, otoczona grząd zielenią,
rośniesz sobie swobodnie bez niczyjej wiedzy.

I ja nawet, który cię znałem droga moja miła,
który często słyszałem twoje szumki polne
twoje szepty ciche, głosy czułych nawoływań,
nie wiedziałem że rośniesz we mnie tak dostojnie,

że dawność i zawiłe sprawy pachnącej młodości
rozsupłały się w nitki drobnych smutków, cierpień,
w pasemka błahych zdarzeń, w trochę szczęścia i miłości
I nadziei, że kiedyś przecie będzie lepiej.

Nie wiedziałem, że wszystko tamto i ty moja droga,
kiedy, marny poeta, pisze żmudnie wiersze,
jest tą ścieżką jasną—tą szukaną trudną drogą,
na której znajdę słowa i myśli najszczersze.

Na wsi.

Droga, jak lancet najprostsza,
najmilsze barwy kwiatów u bezdroży,
i woń lip najsłodsza,
i wicher—wysłannik boży,
najciszej zadumane ranki jako owce,
jak dojrzałe soczyste jabłka, południa czerwcowe,
i w obłokach jastrzębie—niestrudzeni łowcy
a niżej jabłonie, grusze—drzewa owocowe
i pola za sadami dobre, czarnoziemne —
Patrzymy na to codzień—o moi kochani!
i codzień wzrok nasz bardziej staje się promienny,
i jak ogród—rozkwita liljami.

Antoni Madej.

W sprawie „Literackiego Kościoła wojującego".

Przekazujemy czytelnikom naszym, z pośród wielu głosów dwa najcharakterystyczniejsze. Jak sądzić można z treści głos badacza-polonisty i głos ucznia. Pierwszy (niestety — wybrać musieliśmy fragmenty tylko) dowodzi nienaruszalności metod obecnych. Drugi — głos ucznia, — wykazuje, do jakich metody owe doprowadzają skutków.

Red.

P. Kaden-Bandrowski poruszył w jednym z ostatnich numerów Literackiego „Głosu Prawdy" tak ważną kwestję, jak sprawa studjów i przygotowania polonistów-nauczycieli. Ważności tego zagadnienia nie trzeba podkreślać; sam autor czyni to zresztą w dostatecznej mierze, poświęcając temu cały artykuł.

P. Bandrowski stoi na stanowisku, że studjum literatury w szkole średniej powinno się zacząć od poznania literatury współczesnej, aby później „prowadzić wielkiemi okresami do źródeł". Więc najpierw poznać Żeromskiego czy Reymonta (o innych w szkole jeszcze głucho), aby później przejść do Reja czy Kochanowskiego?

Jakżeż nieprzygotowanego ucznia wprowadzać odrazu na szczyty problemów literackich, w ogrom życiowych, społecznych, literackich, estetycznych zagadnień, jakie porusza utwór współczesny? Jak potrafi się — choćby nawet zdolniejszy uczeń V-ej czy VI-ej klasy — zorjentować w dziele pisarza współczesnego, mającego za sobą wieki kultury literackiej, czerpiącego z tych trwałych zasobów ideowych czy artystycznych, jakie kształtowały się przez długi ciąg lat z pokolenia na pokolenia? Każde i to najlepsze dzieło zyskuje pełnię wartości dopiero w społeczeństwie utworów mu współczesnych i — podkreślmy — wcześniejszych; niemożliwe jest względnie pełne zrozumienie i ocena utworu, wyrwanego ot, jako dowolny fragment, z całokształtu gleby literackiej, badanego bez retrospektywnej znajomości przedmiotu.

Jak tu zaznajomić ucznia ze sztandarowemi dziełami „Młodej Polski", jak mu tłumaczyć ideologję Wyspiańskiego, jeśli nie będzie uprzednio znał okresu pozytywizmu, czy owych haseł romantyzmu, z jakiemi Wyspiański walczył! Co będzie wiedział uczeń o pisarzach t. zw. pozytywistach bez wcześniejszego poznania epoki romantycznej, albo co o Brodzińskim czy Balladach Mickiewicza, wobec nieznajomości literatury oświecenia! Właśnie ta „ciągłość narodowego obyczaju, którego najżywszą wyrazicielką jest literatura ojczysta" nie pozwala interpretować jej w sposób praktyczny — jak to czyni Kaden-Bandrowski — bo stajemy wobec nierozwiązalnego zagadnienia, jak szukać tej ciągłości w kierunku wprost przeciwnym do jej linji ewolucyjnej.

Inna sprawa, że faktycznie łatwiej udałoby się zainteresować ucznia literaturą współczesną; ale zważmy, kiedy uczeń odniesie więcej korzyści z takiej lektury: *przed*, czy raczej *po* opanowaniu materjału historycznego? A jeśli spotkamy się z zarzutem, że właściwie na ławie szkolnej nie może-

my się doczekać poruszenia ex cathedra literatury współczesnej, to zarzut ten — często, niestety, nazbyt słuszny — w niczem naszej sprawy nie dotyczy. Poruszyliśmy tylko kwestję czasu i miejsca na poznawanie literatury współczesnej, a że literatura ta jest niesłusznym kopciuszkiem programów, na to się każdy zgodzi. Przedewszystkiem więc wywalczmy należne jej stanowisko w szeregu „obowiązującej“ lektury!

Nie możemy winić programów uniwersyteckich, że uwzględniają one tylko literaturę przeszłą.

Stosowanie metod, jakiemi operuje dzisiejsza naukowa krytyka czy historja literatury, do zjawisk współczesnych, żywych, a więc wciąż płynnych i niedostępnych w swym całokształcie ogólnemu poznaniu, stosowanie tych metod zawierałoby w sobie paradoksalność.

Z jednej bowiem strony stoimy na stanowisku, że poznaniu objektywnemu dostępne są tylko formy utrwalone i — last not least — do pewnego stopnia skostniałe, a z drugiej strony zabieramy się do badania zmiennej i wciąż zmieniającej się rzeczywistości. Nie, nie możemy tego brać za złe współczesnej metodologji, że eliminuje ze sfery badań literackich literaturę żywą: tak postępując idzie tylko konsekwentnie po linji swych założeń; godząc w ten postulat — jeden z zasadniczych — wyrazilibyśmy jej dobitnie nasze votum nieufności i musielibyśmy szukać nowych dróg, nowych metod, może zgoła nie lepszych, niż dzisiejsze.

Dziwnem jest zarzucać, że uniwersytet kształci tak, „jakby każdy z polonistów miał później w życiu zostać profesorem uniwersytetu“. Gdyby taki cel został doprawdy osiągnięty, powinnibyśmy być tylko zadowoleni: od profesora uniwersytetu wymagamy nietylko metody i gruntownej erudycji, ale w równej przynajmniej mierze bogatej indywidualności i samorodnego talentu.

Uniwersytet — podkreślmy to — spełnia swe zadanie; wydaje naukowców; jest kuźnią czystej wiedzy, nie seminarjum kształcącem nauczycieli. Jak zdobyta w uniwersytecie wiedza może i powinna być spożytkowana nietylko ku dobru danej jednostki, ale i całego społeczeństwa — kwestja to doprawdy leżąca u nas jeszcze całkowicie odłogiem a uwarunkowana ściśle całokształtem form kulturalnych i socjalnych w dzisiejszem społeczeństwie.

Ale wróćmy do naszego zagadnienia. Naszem zdaniem, całkowita odpowiedzialność za wszelkie zło, związane z typem polonisty, spada tylko i wyłącznie właśnie na tego polonistę. Nie pomogą tu żadne katedry literatur współczesnych, jeśli sam polonista nie zrozumie, że ścisła wiedza, jaką zdobywa w uniwersytecie, powinna iść w parze ze znajomością życia teraźniejszego, kipiącego i tętniącego rozgwarem ścierających się, wiecznie żywych prądów, kierunków i haseł. Jeżeli polonista tak nastawi swój umysł, żeby nie zacieśnić się wyłącznie do ścisłego rytuału naukowego, jaki nam wpaja uniwersytet. jeżeli będzie pilnie badał i śledził otaczającą go współczesność, to bądźmy pewni jaknajlepszych skutków. Potrafi znaleźć owo podejście do teraźniejszości, a wiedza, jaką z uniwersytetu wyniósł, nie tylko nie przeszkodzi mu w tem, ale posłuży jako niezawodny a trwały punkt oparcia. „Z żywego czytać nienauczony“ znajdzie łatwo wyjście: sam się „czytać z żywego nauczy“.

Pozostaje jeszcze jedna kwestja, kwestja — jeśli tak można powiedzieć — czysto literackiego przygotowania polonisty; przez przygotowanie to rozumiemy sprawę kompetencji i zdolności polonisty do kształtowania formy literackiej wypracowań, do wskazywania środków i możliwości ekspresji. korygowania błędów — słowem do ogólnego kierowania sztuką pisania.

Stara to prawda, że uniwersytet nie fabrykuje literatów. Kto zdolności literackich nie posiadał już przedtem, ten ich napewno nie zdobędzie — w uniwersytecie może najmniej. Proponowany przez p. Bandrowskiego profesor nie nauczy „przyszłego nauczyciela“ sztuki pisarskiej, tak, jak profesor konserwatorjum czy akademji malarskiej nie zrobi z nieobdarzonego wrodzonym talentem ucznia ani wirtuoza, ani malarza; nauczy go najwyżej rzemiosła muzycznego lub malarskiego, nie otworzy jednak przed nim Elensis prawdziwej, natchnionej sztuki.

Jerzy Sander.

Teraz my mówimy.

W odpowiedzi na artykuł: „Literacki kościół wojujący“.

Wzruszającą jest Wasza, tj. „Głosu Prawdy Literackiego“ obrona, nas — wyuczonych klasyczną zasadą gimnazjów. Chodzi tu oczywiście o „polskie“.

W ostatnim czasie poświęca „Dodatek Lit.“ wiele miejsca owym „polonistom“, którzy nam tłumaczyć mają l i t e r a t u r ę.

Sprawa musi wyjść na wierzch.

Poprostu nasi „poloniści“ to mamuty przedpotopowe. Dość tego! Nie wolno nam wbijać w głowę, że literaci i literatura, to tylko Rej, Kochanowski, Mickiewicz i Sienkiewicz. Dlaczego u naszych „polonistów“ nasza kultura na tem się kończy? Dlaczego nie istnieje w murach szkolnych Żeromski, Kasprowicz?

Jest przecież okropne,—mleć ciągle tego Pana Tadeusza“ i dziecinną „Trylogję“.

Nie, to tak dalej nie pójdzie. Jeśli nam nie dadzą współczesności, to zażądamy jej sami.

Musimy iść z postępem kultury.

Prawie wszyscy „poloniści“ to analfabeci współczesnej literatury. Taki profesor „Polskiego“ nie wie, kto to był Przybyszewski, nie czytał ani pół linijki Staffa, ale zna za to na pamięć „Pieśń o sobótce“.

Dlaczego nie bierzemy w szkole „Papistów“?

Czemu wyrażają się „poloniści“ z lekceważeniem,, a niemal pogardą o „nowych“ książkach i autorach?

Gdy raz napisałem zadanie choć o „oklepanym“ temacie—jakiemi w szkołach średnich rozpo-

rządzają — trochę oryginalnie, może nawet nieco „poetycko" — „polonista" przekreślił je, nie przeczytawszy, i dodał niżej „źle" na drugi dzień miałem awanturę, wśród której padły między innemi słowa: „gimnazjum nie jest szkołą literatów", Obarczony nazwą „grafoman"—usiadłem na ławce. Odtąd odpisuję zadanie z zeszytu mego ojca (wtedy były te same tematy) i mam zawsze „bardzo dobrze".

Ale to tak, niby prywatna sprawa.

Mówi się zawsze o rozwoju książki, i o braku dobrego gruntu ku temu. Nie ma się czego dziwić, jeśli nas głęboko przekonują, że tylko Mickiewicz i Sienkiewicz pisać umieli.

Sienkiewicz jest w porównaniu z siłą Żeromskiego zerem, a słabe powieści jego bledną przy tak dojrzałych powieściach jak Żeromskiego.

A dlaczego „oni" tego nie wiedzą?

To oni są grafomonami, nie my.

My, literaci—przyszli literaci, jesteśmy w niewoli,—niepodlegli. My—to dawniej, Polska. „Poloniści"—zaborcy. W tajemnicy piszemy, drukujemy pod pseudonimami. Ale kiedyś, kiedyś — powstaniemy.

Powstaniemy na nagłówkach powieści, w wystawach sklepowych, w żywem słowie!

Niestety, nie mogę się podpisać

Więc tylko *Ż-a.*

W poszukiwaniu rzeczywistości.

(Pirandello i Unamuno).

„Kartezjusz, badając naszą świadomość rzeczywistości, wpadł na jedno z najstraszniejszych odkryć jakie kiedykolwiek zrodziło się w umyśle ludzkim: oto, że gdyby nasze sny miały prawidłowość, nie bylibyśmy w stanie odróżnić snu od jawy" (Maurycy Setti w sztuce „Piacere dell'onesta").

Sny i rzeczywistość: problemat nierozwiązalny! Pirandello chciałby zdobyć ostateczną Konstrukcję, monumentalną, ale jej znaleść nie może. Przypadkowość życia, tak jaskrawo zobrazowana we „Mgle" Unamuna, staje się dla niego źródłem tragizmu, tak dla filozofa, który nie chce wyjść po za konstrukcję, stanie się ona źródłem radości. Możemy bowiem stosować aprioryczne prawa matematyki do świata zjawisk empirycznych, — dowód to, że nasza aprioryczność odpowiada w wysokim stopniu bezpośredniości życia. Taką jest „Gluckliche Tatsache" Hermana Lotze w jego „Metaphysik'" a zestawienie to wykazuje, jak dalece antyracjonalizm Pirandella ma swoje źródło w uczuciu „ressentiment". Punktem wyjścia jest poznanie, zdobyte drogą refleksji. Życie irracjonalne, życie, które nigdy racji nie ma, odzwierciadla się zawsze u Pirandella i czasami u Unamuna jako jakiś absuralny kołowrót; niema tu procesu psychologicznego, regulowanego prawem postępu są tylko śmiertelne skoki sprzeczności i zderzenia niebywałe. Do irracjonalności życia dochodzi się drogą przemyślenia do końca tych wszystkich założeń i przesłanek, które daje nam właśnie intelekt, czyli droga racjonalizacji życia. Mamy tu likwidację logiki przez przeprowadzenie tej logiki do końca—mamy antyintelektualny intelektualizm, lub zagorzalizm irracjonalny. W fenomenologji Hegel wychodzi od bezpośredniości życia. Z podejrzliwości wobec zmysłów, które nas oszukują, budzi się rozum. U Pirandella destrukcja płynąca z refleksji zmusza człowieka do dystansu ironicznego w stosunku do logiki, rozumu i rzeczywistości, która jako prąd rzeczy nowych i zmiennych wymyka się nieustannie z pod jakiegokolwiek ujęcia. Zresztą „Omni aeterminatio negatio". Między życiem, a „widzeniem życia" jest przepaść taka, jak między życiem a śmiercią. Dopóki się żyje—żyje się i koniec! Jeśli ktoś może zobaczyć swe własne życie, to znak, że już żyć przestał. „Wlecze je za sobą jak rzecz martwą". Wszyscy zostaliśmy oderwani od płynącej fali, schwytani w pułapkę i tak zwiecznieni dla śmierci (nowela „La carriota"). Możemy poznawać i widzieć tylko to co w nas jest martwe. „Poznawać to znaczy umierać".

Konflikt polega na zderzeniu się obudzonej świadomości z chęcią do statecznego ujęcia życia.

— Każdy z nas zna tę żądzę spoczynku, każdy, dążąc, myśli o przystani, pragnie nie iść, lecz dojść, a gdy go burzliwa fala z jakiejś wysepki zmiecie, oszalałemi z bólu rękami chwyta się kępy traw, aby nie płynąć wraz z nurtem groźnej, tajemniczej rzeki istnienia. Kępy traw i wysepki — to konstrukcje i formy nasze, groźna rzeka, bełkocąca głucho pod mostami naszych iluzyj—to życie samo!

Na początku filozofji Pirandetta jest również, jak u Kartelljusza i Augustyna, fakt świadomości, jako coś bezpośrednio danego, nie podlegającego wątpliwości. Różnica polega na tem, że gdy Karterjusz i Augustyn patrzą na świadomość jako na jednolitą sferę objętą jednym, ogólnym tytułem „cogitatio", kładąc przez to samo jednostronny nacisk na stronę intelektualną i racjonalną, Pirandello ujmuje świadomość, jako walkę, antytezę dwóch elementów. Będziemy tu mieli dążność do stwarzania stałych form i nie dające się ująć w rozumowe kategorje sfery emocyj, impulsów i instynktów.

Intelektualna dążnosć do ujęcia i wtłoczenia życzenia w pewne, niezmienne stałe ramy, cechująca większość ludzi Pirandella, nie istnieje dla Unamuna *).

We „Mgle" niema czynnika aktywnego, który nadaje przedmiotom i rzeczom formę i kształt. Świat myśli i uczuć jest równie płynny, jak rzeka i równie lotny, jak mgła. Zderzenie dynamiki, życia ze stałym światem form konstrukcyjnych jest niemożliwe, ponieważ August Perez w działaniu i myśleniu jest równie dynamiczny, jak życie samo. Jest to wyścig alogiczności wewnętrznej z absurdalnym kołowrotem zewnętrznych zdarzeń. Zarówno myślą, jak i czynem i faktem rządzi przypadek „który jest najgłębszym rytmem świata; duszą poezji".

---

*) „Mgła" psychologiczny romans Unamuna, który także się niedługo w przekładzie Edwarda Boye.

Jakaż jest rzeczywistość istotna, rzeczywistość nieśmiertelna tych ludzi i ich twórcy, Unamuna? „Człowiek, którego na sposób Kanta możnaby nazwać neumenicznym, ten człowiek idealny, ten imperatyw kategoryczny winien żyć w świecie fenomenologicznym, czyli w świecie pozorów.

Musi też śnić o życiu, które jest snem. Z antagonizmów tych ludzi realnych powstają tragedje, komedje, powieści i nowele. Lecz rzeczywistość jest rzeczywistością wewnętrzną. Czy rozumiecie Sigismond'a [1]).

Don Quichote'a, którzy śnili o życiu? Rzeczywistością w życiu Don Quichote'a nie były wiatraki, lecz olbrzymy! Wiatraki, to pozory! Giganci byli neume niczni i substancjalni. Sen jest rzeczywistością, twórczością, tak, że i wiara jako źródło rzeczywistości jest życiem". Wierzyć to tworzzć, tworzyć to żyć („El Protogo.)"

Przeciwstawmy tę unamonowską afirmację maksymie Pirandella, a zrozumiemy, że punkt oparcia przesunął się tu w sferę wewnętrznej rzeczywistości tworzenia. Tego źródła mocy nie znają manekinowi, bohaterowie z „Il teatro delle maschere nude", ani typy realistów, które z fonografem w brzuchu powtarzają zdania maestra Pedro [2]).

Dzięki tej twórczej rzeczywistości, Unamuno przy pomocy „El licenciado de Vidrio" Cervantesa stwarza od nowa samego siebie, lub też we „Mgle" staje się pretekstem, potrzebnym nato, aby historja Augusta Perez, historja innych typów, jako też jego własna historja mogły się pojawić na świecie!

Edward Boye.

O Ego—futuryzmie rosyjskim.

Zdaje się dziś, że bardzo dawno, w rzeczywistości zaś zaledwie dwadzieścia lat temu powstały — w Moskwie i w Petersburgu równocześnie — dwa prądy futurystyczne. Na czele szkoły moskiewskiej stali: Włodzimierz Majakowskij, Dawid i Włodzimierz Burlukowie, Kruczonych, Anatol Kamienskij i pełen zapału Włodzimierz Chlebnikow. Do szkoły petersburskiej należał Igor Siewierianin [3]) i... parę nieciekawych poetów, których nazwisk nawet wymieniać nie warto. W Moskwie poeci kubofuturyści zjawiali się wszędzie w żółtych kaftanach, malowali sobie twarze, awanturowali się, plwali na publiczność, siląc się zadziwić wszystkich nowemi słowami, rytmami i rymami.

W Petersburgu Siewierianin i jego adepci drukowali w cieniutkich broszurkach swe „poezy". Do roku 1912 broszur takich wydano aż 35. Powodzenie ich było po części „succès de scandale", a po części da się wytłumaczyć świeżością, którą tchnęły wiersze Siewierianina. Podczas gdy odziani w żółte kaftany kubofuturyści moskiewscy poczynali sobie bardzo swobodnie z rymem i metryką tradycyjną, ego-futuryści przestrzegali w wierszowaniu kanonów, iecz rytmy ich odznaczały się wyjątkową śpiewnością, a zamiast rymów zjawiają się w użyciu asonanse i dysonanse.

W roku 1913 znaczna część materjału, ogłoszonego w broszurach, ukazała się w książce p. t. „Gromokipiaszczij kubok". Tytuł ten zapożyczony został z przepięknego wiersza Teodora Tiutczewa. Sam Teodor Sołogub, podówczas już znany „dekadent" rosyjski, napisał przedmowę do tego zbioru, jakby klepiąc przychylnie po ramieniu poetęurwisa.

Futuryści moskiewscy, robiąc na złość wszystkim poprzednim i współczesnym prądom poetyckim, wyszli ze swą twórczością na ulicę. Zamiast słów modlitwy Aleksandra Błoka, metalicznych tonów Walerego Briusowa, formuł magicznych Wiacześława Iwanowa, rozlegają się uliczne wrzaski, wyzwiska i kpiny pod adresem ciekawego tłumu.

Igor Siewierianin też z namaszczeniem woła: „Ja wsiech czużich znowu na ty".

Obydwa kierunki odrazu zaczęły współzawodniczyć w dążeniu do sławy. Próby połączenia się w jedną szkołę spełzły na niczem, gdyż stało temu na przeszkodzie zbyt bliskie pokrewieństwo, połączone u tych jednych drugich z niesłychaną manja wielkości:

„Ja — gienij, Igor Siewierianin".

Mimo to Siewierianin szczerze i uczciwie wymienia nazwiska swych mistrzów w zakresie poezji. Byli to di minores poezji rosyjskiej schyłku XIX stulecia Konstanty Fofanow i Mirra Łochowickaja, których wiersze narówni z perłami kunsztu poetyckiego obfitują w niewiarogodne wprost „lapsusy". Ta nierównomierność jest też cechą charakterystyczną talentu ich spadkobiercy Igora, który przez wiele lat cieszył się niesłychanem powodzeniem.

Każda stronica zbiorów wierszy Siewierianina, jak np. „Gromokipiaszczij kubok", lub „Złatolira", lub „Ananasy w szampanskom", lub „Victoria Regla", lub „Poezoantrakt", lub „Tost bezotwietnyj", lub wreszcie „Mirrelja", jest oknem otwartem ku lazurowi niebios. W książkach późniejszych („Sołowiej", „Werwena" i inne) na „okna" takie natrafiamy, coprawda, coraz to rzadziej. Mimo to znawcy zawsze czytać będą Siewierianina i ocenią go, jako poetę z Bożej łaski.

Zrządzeniem losu porzucił Siewierianin Petersburg, miasto rodzinne, gdzie mu się uśmiechnęła sława. Od lat dziesięciu mieszka w Estonji, którą pokochał, jak drugą ojczyznę.

Obecnie szuka nowych dróg twórczości. Tłumaczenia z poezji estońskiej są jakby punktem zwrotnym ku surowości i prostocie, znajdującym wyraz z niewydanych jeszcze zbiorach wierszy, z których ostatni ma charakterystyczny tytuł „Kłassiczeskija rozy".

Kubo-futuryści moskiewscy przeszli już do historji, lub, jak Włodzimierz Majakowskij, ewolucjonowali w kierunku satyry politycznej i sensacji brukowej. Do historji należy również egofuturyzm rosyjski.

---

[1]) Bohater dramatu Calderona „Życie snem".

[2]) Maestro Pedro w słynnym epizodzie Don Quichote'a pokazywał marjonetki.

[3]) Znakomity poeta rosyjski bawi obecnie w Warszawie.

W twórczości Siewierianiua ostatnich lat dziesięciu nie znajdzie już czytelnik cech niegdyś tak charakterystycznych: znaczy to że Igor Siewierianin pozostaje i dzisiaj poetą współczesnym.

Tem ciekawszą jest dla nas jego liryka lat minionych, pełna śpiewności i szczerego uczucia.

Sergjusz Kułakowski.

Tłómaczył *Wiktor Jakubowski.*

Przed ofenzywą książki.

Związek Bibljotekarzy Polskich w Warszawie wystąpił z godną jak największego uznania inicjatywą: przygotował projekt ustawy o obowiązku zakładania i utrzymywania gminnych bibljotek publicznych. Projekt ten odpowiednio opracowany przez Ministerstwo W. R. i O. P. po przyjęciu go przez Radę Ministrów wszedłby w życie drogą uchwały Sejmowej.

„Zadaniem ustawy bibljotecznej — głosi projekt—jest podniesienie poziomu moralności i kultury ogółu, pogłębienie jego świadomości obywatelskiej i usprawnienia zawodowego oraz dostarczenia mu szlachetnej rozrywki drogą udostępnienia dobrej książki". Dzięki takiej ustawie państwo w osobie władz samorządowych wzięłoby na siebie troskę o podniesienie kultury jak najszerszych warstw ludności, w szczególności ludności wiejskiej, zapomocą środka tak potężnego, jakim jest dobra książka.

Projekt ustawy przewiduje obowiązkowe utrzymywanie bibljotek stałych w miastach i gminach miejskich liczących powyżej 5 tysięcy mieszkańców oraz bibljotek ruchomych, wypożyczanych z bibljotek powiatowych, w miastach i gminach z ludnością poniżej 5 tysięcy. Korzystanie z bibljoteki byłoby bezpłatne, gminy jednak ponosiłyby świadczenia na utrzymanie bibljotek, wynoszące do 50 gr. na jednego mieszkańca w gminach najmniejszych, do 1 zł. w gminach największych, niezależnie od obowiązku dostarczania lokalu opału i światła.

Nadzór nad funkcjonowaniem bibljotek i kompletowaniem księgozbioru należałoby do lokalnych władz samorządowych gminnych i powiatowych. Niektóre punkty projektu ulegną niewątpliwie dyskusji i rewizji*). Należałaby tutaj przedewszystkiem sprawa podatku. Trzeba przyznać, że jest on w stosunku do ponoszonych już przez gminy świadczeń zbyt wysoki. Drugim punktem nasuwającym uwagi krytyczne jest pozostawienie kwestji uzupełnienia księgozbioru bibljotek gminnych lokalnym władzom samorządowym. Należałoby się liczyć z faktem, że nie wszystkie organy nadzorcze bibljotek będą dostatecznie świadome głębokiego zadania tych nowych placówek kulturalnych i mogą iść po linji najmniejszego oporu. Stworzyłoby to możliwości kolportażu literatury małowartościowej a nawet demagogicznej.

Poważniejszym jeszcze byłby wzgląd inny. Oto cały szereg gmin i powiatów kresowych posiada większość ludności niepolskiej. W tamtejszych radach gminnych i sejmikach powiatowych decydują przedstawiciele mniejszości narodowych. Zachodzi poważna wątpliwość, czy przy panujących tam stosunkach dopuszczonoby do bibljoteki książkę polską i czy w ten sposób ludność polska na kresach nie zostałaby pozbawioną książki w ojczystym języku.

Czesi wprowadzając u siebie przymus bibljoteczny, początkowo pominęli wprawdzie Słowaczczyznę i Ruś Podkarpacką—później jednak i na te kraje rozciągnęli działanie ustawy.

I jeszcze uwaga. W projekcie Związku bibljotekarzy za jednostkę terytorjalną uważa się gminę. Należałoby jednak zwrócić uwagę, że w b. zaborze rosyjskim gmina obejmuje przeciętnie około dziesięciu miejscowości, podczas gdy w Galicji i Poznańskiem każda niemal miejscowość (wioska) stanowi gminę. Przy dosłownem więc interpretowaniu ustawy sieć bibljotek w b. zaborze rosyjskim byłaby 10 razy mniejszą niż w Galicji i b. zaborze pruskim z drugiej jednak strony gminy galicyjskie i poznańskie jako jednostki stosunkowo małe, nie posiadałyby prawie bibljotek stałych.

Te lub inne trudności w zastosowaniu ustawy dadzą się jednak niewątpliwie rozwikłać. Nasuwa się pytanie, czy nie dobrem byłoby naprzykład wydanie przez odpowiednią władzę centralną podstawowego katalogu książek, z którego pewna dowolnie wybrana lecz określona co do minimum ilość dzieł, musiałaby bezwzględnie stanowić zawiązek i podstawę każdej bibljoteki gminnej. Katalog taki mógłby być ustalony drogą odpowiednio zorganizowanej przez czynniki bibljoteczne ankiety. Dopiero zaś dalsze uzupełnienie księgozbioru możnaby pozostawić organowi nadzorczemu bibljoteki gminnej nie bez pomocy zresztą ze strony instytucyj centralnych

Dotychczas szerzeniem knltury czytelniczej zajmowały się organizacje społeczno-oświatowe, jak np. Polska Macierz Szkolna w b. zaborze rosyjskim, Towarzystwo Szkoły Ludowej w b. Galicji, Towarzystwo Czytelni Ludowych w Poznańskiem, Towarzystwa te, istniejące dzięki ofiarności publicznej, założyły cały szereg bibljotek, zamało jednak miały funduszów i sił, aby pokryć całą Rzeczpospolitą, siecią tych prawdziwych ognisk oświaty.

Projekt ustawy bibljotecznej przewiduje pozostawienie istniejących już bibljotek publicznych, o ile stoją one na wysokości zadania i przekazanie im dochodów ze świadczeń gminnych.

Ustawa bibljoteczna usunęłaby pewien anachronizm z naszych stosunków społeczno-kulturalnych. Do ostatnich czasów sprawy oświatowe u nas były w przeważnej mierze oparte na filantropji społecznej. Było to zrozumiałe i konieczne w czasach niewoli. Z jednej strony chodziło o spłacenie długu zaciągniętego wobec warstw ludowych przez wieki utrzymywanych w nędzy i ciemnocie, z drugiej strony trzeba było za wszelką cenę budzić w ludzie świadomość narodową.

*) Dyskusja została już zapoczątkowana. Por. Samorząd. № 2 z 1928 r, Artykuł p. J. B. p. t. „Przymus bibljoteczny.

Cały bezinteresowany trud tej pracy i cały prawie ciężar materjalny wzięła na siebie inteligencja polska. Pod tym względem i dziś nie wiele się zmieniło. Towarzystwa oświatowe, o których była mowa, opierają się na cichym podatku, który płaci dobrowolnie ta najnędzniej bytująca i najofiarniejsza warstwa społeczna. Ale tak dzisiaj być nie powinno. Na oświatę powszechną ciężary powinni ponosić wszyscy, tembardziej więc i ci, którzy z niej przedewszystkiem będą korzystać. Ustawa bibljoteczna przeniosłaby punkt ciężkości akcji oświatowo-bibljotecznej i z jej dotychczasowych założeń i podstaw filantropijnych na obowiązek społeczno-państwowy, zapewniając tej akcji trwałość i powszechność podobnie jak się rzecz ma ze szkolnictwem.

Obawy co do upadku akcji bibljotecznej rozwijanej przez związki oświatowe, nie wydają się nam właściwe skoro (przypuśćmy) zamiast trzech tysięcy bibljotek w Polsce będziemy ich mieli 15 tysięcy. Towarzystwa oświatowe po wprowadzeniu w życie ustawy bibljotecznej, będą miały jeszcze b. dużo do zrobienia, choćby właśnie w dziedzinie likwidacji analfabetyzmu wśród starszych i samej propagandy czytelnictwa. W tym kierunku będą one mogły skierować największy swój wysiłek, z chwilą gdy odpadnie im troska o utrzymanie bibjlotek.

Obecnie idziemy za przykładem Zachodu, gdzie np. w Anglji lub Stanach Zjednoczonych przymus bibljoteczny istnieje od dość dawna; w ostatnich czasach wprowadzono go u naszych sąsiadów—w Czechach i Rumunji.

Zbytecznem byłoby mówić o znaczeniu ustawy bibljotecznej dla oświaty, kultury i moralności. W Anglji, gdzie ustawę wprowadzano stopniowo—statystyka wykazała, że w gminach, w których założono bibljoteki, liczba przestępstw zmalała w ciągu kilku lat bardzo znacznie. Argument, że w ostatnich tygodniach statystyka wykazała znaczny wzrost liczby przestępstw w Stanach Zjednoczonych. A. P. gdzie przymus bibljoteczny oddawna istnieje—nie godzi zupełnie w słuszność przekonania o moralnym wpływie dobrej książki: celowości ustawy bibljotecznej. Przyczyną niepokojącego wzrastania zbrodniczości w Stanach Zjednoczonych jest paradoksalny ustrój i poziom moralny sądów amerykańskich, gdzie z powodu niesłychanej korupcji i szeregu dziwolągów obyczajowo-prawnych, właściwych stosunkom amerykańskim, na 100 przestępców zaledwie jeden ulega karze.

Powstanie w kraju kilkunastu tysięcy nowych bibliotek, a w związku z tem wzmożone zapotrzebowanie książki, usunęłoby chroniczny kryzys wydawniczy, w jakim żyjemy, wpłynęłoby na rozwój handlu księgarskiego oraz drukarstwa, pośrednio zaś i na polepszenie doli pisarzy polskich.

Zapotrzebowanie fachowych sił bibljotekarskich stworzyłoby nowe pole twórczej pracy i nowe podstawy bytu dla licznych rzesz inteligencji polskiej. W dziedzinie wewnętrznych zagadnień bibljotekarskich aktualność ustawy wpłynąćby musiała na rychlejszą organizację naszych naczelnych, władz bibljotecznych, unifikację systemów bibljotekarskich i t. p.

Przedwczesności ustawy można się nie obawiać. Sami projektodawcy przewidują potrzebę półtorarocznego okresu przygotowawczego (od chwili uchwalenia)—aby można było *rozpocząć* realizację ustawy—całkowite jednak wprowadzenie jej w życie, musiałoby potrwać z pewnością jeszcze kilka lat.

Tembardziej nie należałoby zwlekać z dokładnem opracowaniem opracowaniem projektu ustawy i skierowaniem go na drogę ustawowego załatwienia.

Inicjatywa Związku Bibljotekarzy Polskich w Warszawie jest dobrym przykładem, jak może się rozwinąć współdziałanie związków zawodowych inteligencji z czynnikami państwowemi dla dobra narodu i państwa.

J. M. Toporowski.

W odpowiedzi na prostactwo.

W numerze 30-ym katowickiej Polonji z d.30 stycznia niejaki pan Szeliga w artykuliku p. t. *Śląskie T-wo „Literackie"*, poddając bezmyślnej krytyce piękną inicjatywę założycieli tego Towarzystwa, zaczepia między innemi moją osobę. Mówiąch o funduszach tego towarzystwa, pomieszcza ustęp następujący:

„W takim zaś razie wyłoniłyby się z pewnością trudności n. p. przy rozdziale nagród za dzieła belletrystyczne. (Fundusz jest 35,000 zł.). P. Kaden-Bandrowski pracuje już nad Barczem śląskim i „prawdziwą" historją powstań górnośląskich. Z góry się wie, że to dzieło genialne uzyska pierwszą nagrodę Śl. Tow. Literackiego. Powinien być porządek w Towarzystwie, a za ten reczą urzędnicy".

P. Szeliga wie widocznie „zgóry", jakby sam postępował gdyby był urzędnikiem, względnie autorem, mogącym się ubiegać o nagrody. Biegałby do urzędników i wyżebrywałby sobie nagrody. Miło mi jest pouczyć p. Szeligę, że nie param się tak prostackimi sposobami, jemu „zgóry" wiadomemi.

Sprawę literackich nagród górnośląskich miałem zaszczyt omawiać z p. wojewodą Grażyńskim jeszcze przed powstaniem Towarzystwa. Już wówczas, gdy się mówiło o składzie sądu konkursowego, prosiłem p. wojewodę, by wśród przyszłych sędziów zechciał uwzględnić i moją kandydaturę. Po pierwsze ze względów personalnych: By głupota, czy nizka zawiść nie mogła mnie pomówić, iż chcę stawać do tego konkursu. Po drugie: Ponieważ znam dany teren, gdyż do mojej powieści p. t. „Czarne Skrzydła" na danym terenie wiele pracowałem.

Sprawę tę postawiłem tak samo w ostatnich dniach listopada u. r. na posiedzeniu Zarządu Zw. Zawodowego Literatów Polskich w Warszawie, pod przewodnictwem Wacława Sieroszewskiego Gdy na posiedzeniu tem omawiano przyszły skład

jury i trudności w jego zestawieniu a to, by przez udział w sądzie nie zamykać kolegom drogi do ubiegania się o tak wysokie nagrody, oświadczyłem kategorycznie, iż Związek liczyć może na moją kandydaturę do składu sędziów, ze względu bowiem na wspólnie z p. wojewodą układane przezemnie zarysy konkursu nie mogę konkursu tego obsyłać memi pracami.

Juljusz Kaden-Bandroweki.

WYJAŚNIENIE.

Proszeni jesteśmy o podanie do wiadomości czytelników iż artykuł prof. Ujejskiego o „Studjach Szweykowskiego nad Prusem" złożony był redakcji „Tygodnika Ilustrowanego na dwa tygodnie przed ukazaniem się artykułu prof. Łempińskiego o pracy Szweykowskiego w „Wiadomościach Literackich.

Odpowiedzi „Głosu Prawdy" Literackiego.

Rob.: Komu, jak komu, a właśnie Panu odpowiadamy z przyjemnością. Wiersz dobry nie jest, dlatego, iż porusza Pan temat wielki, pełen boleści, zemsty i wyrzutu za pomocą zgoła oklepanych częstochowskich rymów. Rzecz jasna: dany temat domaga się odpowiedniej formy. Nie stawiamy pałaców ze słomy a szklanek nie robimy z betonu. Wyszukanie zgody pomiędzy tematem a formą jest do pewnego stopnia tajemnicą talentu poetyckiego. Nauczyć się tego nie można. Ale można się w pewnym stopniu dopracować do tego. Radzimy Panu przedewszystkiem przerzucić się z wierszy na prozę. Niech pan zacznie od pisania opowiadań ze swego środowiska. Rzeczy zaobserwowane układać w opowiadanie. Opisywać wiernie, a jednak tak, by mógł się tem przejąć czytelnik. Natomiast nie wzruszać się za czytelnika, podsuwając mu poetyczne słowa, okrzyki i t. p. Oczekujemy od Pana kilku takich opowiadań.

Adam Lud, Skierniewice: Przysyła nam Pan wiersz, każe go nam Pan poprawiać, niepotrzebne rzeczy wyrzucać a potem drukować. Dziękujemy za zaufanie, ale może niech Pan w końcu napisze tak, jak być powinno, a wtedy znowu pogadamy?

Tad. F. Myszków: Dziękujemy za miłe słowa i wiersz Gałuszki. Ma Pan całkowitą słuszność. Nie warto jednak tej sprawie tyle miejsca poświęcać. Wiadomo przecie, że to kawały przedwyborcze.

W. B. Poznań: Nadesłane wiersze znacznie gorsze od poprzednich. Obrazy pomieszane w najnieskładniejszych proporcjach, porównania wymuszone, a wszystko zimne.

Zawora, Kraków: Nowela nie zorganizowana, nie uporządkowana, słowem nie skomponowana. Jest to zaledwie szkic, dyspozycja niewykonanego utworu.

W. R. N. Stanisławów: Ocenę pomieścimy w jednym z naibliższych numerów. Musimy przecie mieć czas na przeczytanie tego utworu. Korespondenci, nadsyłający całe tomy nie mogą wymagać odpowiedzi odwrotną pocztą.

Jan Szcz. Chełm: Ciągle, ciągle nie dobrze. Czyż Pan tego nie czuje. Nie należy zmuszać się do pisania.

Marja Rob: Takich wierszy piszą ludzie miljony całe. Czy sądzi Pani, że poezja polega na rymowaniu potocznych uwag, lub spostrzeżeń? Proszę uważnie przeczytać piękny wiersz dobrego poety i zastanowić się nad treścią oraz formą takiego wiersza.

Dorjan: To samo, co odpowiedziano wyżej.

Sven Rand, Łódź: Więc wyobraża Pan sobie, że po śmierci będzie się Pan jeszcze zajmował swą ukochaną do tego stopnia, iż z tamtego świata przylatywać Pan będzie, by w buduarze lubej poprawić róże na stoliku? Trudno! Nie możemy Pana zachęcać do pisania poezji, przeciwnie odradzamy stanowczo.

Dora R. Kraków: Najlepiej czuje się Pani w tych sprawach laboratoryjnych. Trzeba to jednak jeszcze znacznie subtelniej stylizować, przemyśleć i przepracować! Nie wolno wierszy tego rodzaju „puszczać".

Tad. Horz: Nadesłany zbiorek omówimy.

Bernard Ham. Tarnów. Są to pierwsze pierwsze doświadczenia chyba. Trzeba sobie powiedzieć obecnie: mogę opisać ten i ów odruch nerwu sympatycznego. Tę i ową reakcję instynktu. Jakże daleko stąd jednak do budowy dobrego opowiadania. Czy nie pomyślał Pan nad tem!

Józef Grz. Jakże Panu nie wstyd w dzisiejszych czasach pisać tak oklepaną zwrotką tak lichym rymem?

Emil Sz., Lwów. Wiersze słabe, — a może się nie znamy? Nie widać w tych pracach żadnego postępu, przeciwnie przypominamy sobie znacznie lepsze utwory pańskiego pióra.

Fer. Bardzo ciekawa koncepcja i można było chyba z tego zrobić piękny wiersz, ale wybrał Pan tak straszliwą formę, tak przykrą i sztuczną?!

W. Wol., Łódź: Radzimy nie pisać wierszy. Nie widać nawet śladu talentu.

B. F. Owszem — w wierszu pańskim jest poezja. Jest tętno, które cały utwor ożywia. Prosimy o nadesłanie innych jeszcze próbek.

Wacław R. Grodno. Jeżeli już nie może być inaczej i rzeczywiście ma Pan do nas tak wielkie zaufanie, cóż robić?! Proszę przysłać tę powieść poleconą przesyłką dla Lit. Głosu Prawdy. Przeczytamy i szczerze odpowiemy.

Kora. Nie śmieliśmy odmówić zdolności. Czy nie uważa Pan jednak, że w wyborze porównania trzeba być ostrożniejszym, bardziej prostym a równocześnie wyszukanym? Porównanie książki z narzeczoną może łacno stać się niestosownem. Radzimy pisać, czekamy nowych prób

Ludwik Fr. Mętne to jeszcze, myśl nie kształci się w tej poezji, lecz przeciwnie zanika, a niszczy po drodze swobodę i kształt obrazu. Nim się napisze — wiedzieć koniecznie, co się chce napisać, a przynajmniej ku czemu się dąży,

Anita Oczywiście, że niema mowy o ośmieszaniu. Traktujemy te rzeczy poważnie. Nadesłany fragment jest właściwie kronikarskiem opowiadaniem o wydarzeniu, którego istotne dramatyczne przyczyny nie są czytelnikowi znane. Niema tu więc i być nie może „węzła dramatycznego". Rzecz zupełnie niezbudowana i nie opracowana. Twórczość taka do niczego nie prowadzi.

W. S. Mława. Wielka emfaza, wzniosłe zaklinanie, a poezja słaba i bezprzedmiotowa. Mój Boże, bezprzedmiotowa poezja!

REDAKTOR I WYDAWCA: *WOJCIECH STPICZYŃSKI*

Drukarnia „OSTOJA", Tamka 37. **Przesyłka pocztowa opłacona ryczałtem**